

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 15 kwietnia 1916 roku.

Nr 16

Gustaw Daniłowski.

POWIEŚĆ.

LILI.

2

Pierwsze zdanie kropelkami tru-
cizny wsączyło mu się w serce.

Lili i pocałunek — przybrały po-
stać ostrego szyderstwa — ciosu łaski — krótkiego sztyletu, wbijanego
w gardło śmiertelnie ranym.

— Lili, Lili — szeptał spalone-
mi wargami i nagłe zachciało mu się
w jakiś sposób spospolitować jej z
Anieli zdrobniałe imię, ale ono nie
poddawało się i stwardniało w myśl,
wybiegało na usta w pięściowych zgło-
skach, od których poczęły mu plynąć
po policzkach wielkie łzy i pierś
drgać łkaniem.

Znów przejrzał list — złożył go
z westchnieniem i podniósł się tak
osłabiony i zmierzniały na twarzy,
jakby po długiej, obłożnej chorobie.

Co robić? — i to pytanie stało
się na pewien czas całą treścią jego
świadomego istnienia. Wydało mu
się, że tego wszystkiego niepodobna
tak, jak jest, zostawić, że przecież
kiedy człowiek zasłabnie, to go le-
czy, gdy umrze, to grzebią, a w obli-
czu mieszczeństwa wytejąają wszystkie
sily, by temu zapobiedz.

— Co robić? — pytał, i czuł, że
nie przedsięwziąć nie jest w stanie.

Zamierzał odpisać na list, siadał
przy biurku, zaczynał: Lili i dary
mu się na strzępy z trudem sklecone
myśli. Wybuch skłębionych uczuć
rozpaczy, wyrzutów, miłości i żalu
rozszadzał mu czaszkę i otwierała mu
się otchłań, w którą leciał, czując, że
ginie i że nic się nie da z niej wydo-
być prócz głuchego, nieartykułowane-
go jęku, próżno wołającego ratunku.

Na myśl, że oni się tam bawią,
tulą we dwoje — skir mu toczył
mózg, a serce stawało się gniazdem
skorpionów.

I wtedy zaczynał wprost odczu-
wać pewną nienawiść do Lili, mści-

we, zawzięte uczucia do przyja-
ciela lat młodych. Zdawało mu się,
że lżej byłoby mu zobaczyć Lili w
trumnie, niż w jego ramionach.

Wejść w ich dom, złożyć życze-
nia i palnąć sobie w leb na wiwat
młodej parze, byłaby dogodną odpo-
wiedź, — a potem widział, jak twarz
jej blednie, jak z rozszerzonymi prze-
rażeniem źrenicami błękitnych oczu
przypada do jego ciała, tamuje krew,
trzeźwi, głowę podnosi i całuje w pół-
umarłe usta... i nawet w tym odczu-
tym, jakby na jawie, pocałunku gine-
ły okrutne myśli i budziły się fklive,
przepojone łzami i cichym żalem
wzruszenia, a cała krzywda zamy-
kała się w szeptanem westchnieniu:
Och Lili...

Czasem czuł ochotę postać jej
tylko te dwa wyrazy, ale widział w
nich za mało wyrzutu a za dużo
przebaczenia. Przebaczyć zaś nie
chciał i nie mógł, cios bowiem nietyl-
ko ugodził go w serce, ale zranił am-
bicyę, co stało się wkrótce jątrzą-
cem się ustawicznie ogniskiem do-
tkliwych rozdrażnień.

Zwykle zapytanie: kiedyż znów
przyjeżdża? czyniło nań wrażenie
ukąszenia osy i wstydząc się przy-
znać do tego, co zaszło, zmyślał roz-
maite powody zwłoki, a kłamstwo to
kosztowało go tak dużo, że począł u-
nikać ludzi, przemieszczał się na kraniec
miasta i w zastawionym meblami po-
koju gryzł się w sobie, lub popadał w
kompletną apatyę.

Abnegat z natury, opuścił się zu-
pełnie. Njestrzyżona czupryna, co-
raz mniej guzików a coraz więcej
płam na zmiętym ubraniu — uczyni-
ły zeń dziwaczną, zagadkową figurę
oberwańca, o nerwowej, inteligentnej
twarzy, która zwracała uwagę oto-
czenia.

Czasem jednak wyopreżał się i
zbuntowany przeciw swemu nie-
szczęściu, skupiał się i wystawiał
jakby tamę przeciw szturmom bole-
ści, niszczącym mu duszę.

Ubrany przyzwolcień, zanasz-
stym krokiem ziawiał się w knajpie,
gdzie się zbierał dawni znajomi, pił
sam, stawał innym i wpadał w pod-
niecony, iskrzący się gorzkimi do-
wcipami humor, wznosił toasty na
cześć kawalerskiej swobody, słomia-
nego widowieństwa, ukrywając w mo-
cnych zaciągnięciach się papierosem
nagle nadrywanie się głosu i krzące
w oczach łzy.

— Cóż u dyabła! — irytował
się — czy to jedno posiada wartość...
do licha, przecież mam talent — i pró-
bował pisać dalej rozpoczęta po-
wieść. Ale mu szło, jak z kamienia.
Ledwie związaną tkanekę marzeń roz-
dzierała bolesna rzeczywistość. Dro-
bne ręce Lili druzgotały w drzazgi
wznoszone rusztowania. Na przygoto-
wanym arkuszu występowały zygza-
ki jej imienia, związane z tym tema-
tem aforyzmy, poszarpane myśli bez
początku i końca, coś jakby chao-
tyczny pamiętnik, notatki nieszczę-
ścia o rwącym się ustawicznie wątku.

I Świada rzucał pióro, chwytając się
za głowę i bił się pięścią w czoło,
jakby chce zmiażdżyć wysysające-
go mu mózg wampira, który brał mu
skronie w zimne błony swych skrzy-
deł. Ilekroć znalazł się sam na sam.
Poeta począł odczuwać tę stra-
szną gonitwę człowieka, który chce
ucieć od siebie i od ludzi. Ma
wstręt do towarzystwa, a jednocze-
śnie lęka się samotności.

Ilekroć wracał do swego mie-
szkania, miał wrażenie, że wstępuje
w loch więzienny, gdzie zostanie wkrę-
cony w koło tortury. To też mało
przesiadywał w mieszkaniu, wołał się
zaszyć w jakiś kąt werendy kawiarni
i parzyć na smującej się ciźbę, któ-
rej widok rozrywał mu myśli. Ze
szczególną satysfakcyą lubił się zno-
cać nad rozmaitemi okazami kobiet.
Zwłaszcza interesowały go trójkąty.

Oto wchodzi zażywna dama, przy niej znudzony, podobny do spracowanego wolu mąż i trochę wyleniały lowelas. Z powodu zbyt długiego opięcia gorsetu pani nie siada, ale ostrożnie opuszcza się w fotel, składa obłity biust na blacie stolika i z uczuciem ulgi roztaacza półkole uśmiechu. Wół wlepią oczy w gazetę, lowelas w wycięcie jej stanika.

Spostrzegłszy taka trójkę, Świada poczynął damę fiksować tak uporczywie, z wyrazem tak złośliwym, że zaczynała się denerwować, tracić kontensans i swobodę. Powoli jednak te obserwacje nad rodzajem niewieścim jęły go samego niepokoić i rozniecać płomyki zmysłowych rozdrażnień. Słabe natarcia, a potem istne szurmy cielesnej tęsknoty jęły go nastawiać w bezsenne noce. Przyby-

wała we wszystkich swych urookach Lili, a potem jakieś nieznane dziewczęta. Rozogniona wyobraźnią dochodziła do takiej potęgi, że widziały te nabierały coraz bardziej realnych kształtów, czuł zwiewne pocałunki na wargach, objęcia podobne do prądów opasujących mu ciało i drobne dreszcze rozkoszy, które gasły nagle, pozostawiając ostre wrażenie niedosytu i nabrzmiałe jakby nie krwią a rtecją. Rozjątrzona namiętność doprowadzała go chwilkami jakby do szału, wybiegał na ulicę z wrażeniem, że rzuci się na pierwszą napotkaną dziewczynę, by wciągnąć ją w zaułek, zelżyć i zamordować. Czuł w sobie jej szloch rozkoszy, potem przeraźliwy krzyk, a potem ciśnie martwą i widział w bladej, nieznanej, stygnącej twarzy upojone

wargi i paniecznym łękiem rozszerzone oczy. Zdjęty strachem pędził przed siebie, roztrącając przechodniów, wreszcie zdyszany padał na ławkę, drżąc cały wewnątrz.

Alejami tymczasem smuły się tłumy i od czasu do czasu w ażurowych pończochach, w płytkich pantofelkach, w jaskrawych kapeluszkach mijały go wymalowane, zaszły w lata kokoty, dobrze zbudowane, dojrzałe kobiety, i młode, krótko ubrane, czasem à la bébé, z puszczeniem warkoczami dziewczęta. Na wszystkich jednak twarzach dostrzegał pewną, jakby chorobliwą polewę, coś niezdrowego, a w oczach bezczelnie zalotnych przyczajoną ponurą senność.

Dalszy ciąg nastąpi.

ZUZANNA RABSKA.

Sonety Warszawskie.

U FARY.

Zmierch w katedrze zapada — —. Światła drżące smugi
Rzuca lampka wieczysta na oblicze Pana...
Czas świątynie opuścić — —. Klucze zakrystyana
Podzwaniają u wejścia, w mroku nawy długiej. —

Dziwny wieczór — —. Wśród ciemnych, opuszczonych
Jakieś cienie szarzeją — —. Wielcy dostojnicy, Istali
Ci z portretów się budzą. — I w nawach świątyni
Szepcą ci, którzy wieki tu w podziemiach spali...

Kto oni? — — Jakieś smętne, zadumane mary — —.
Czyżby to z sarkofagu ci biali książęta
Mazowiecy, w księżycu błądzili poświęcie? — —

A może jeszcze dzwonią w starej kolegiacie
Kroki tych, co zaprzysiądz w dniu wielkiego święta
Konstytucji majowej — przyszli tu, do Fary?...

W RUINIE BIBLIOTEKI ZAMKOWEJ.

Nieraz tu król samotnie przepędzał wieczory,
Znudzony próżnią życia, nad księgą poety — —
Gdy go bale znużyły i dworskie bankiety.
Tutaj szukał ukojeń dla swej duszy chorej...

Z szaf książnicy nań mędracy starzy spoglądali.
Gdy pochylał swą głowę nad księgą otwartą, — —
Zastawała go czasem noc nad białą kartą,
Dumającego smętnie w mrocznej długiej sali...

Tam, gdzie król swe duchowe miał sympozyony,
Stajnie były czerkiesów potem... Dzisiaj grzy
Sypią się z ścian... I w sali, końskimi shanbionej

Kopytami, — gdzie książek binsty mędrców strzegły, —
Pod kruszącym się tyńkiem, wśród krwawych ran z cęgły —
Jawią się w płaskorzeźbach skaleczone Muzy...

POMNIK KOPERNIKA.

Z oczyma w gwiazdach, które po przez długie wieki
Świecą w górze niezmiennie — czuwa wciąż na straży
Staszicowego gmachu — —. Spokój w jego twarzy
Z brązu. Rozgwarom miasta obcy i daleki,

Słucha rytmu wszechświata... Płyną dziejów tale
Przez Warszawę... Zmieniają się władce i pany
Tego gmachu, co jego czujnej pieczy dany — —
A on w myślach pogrążon, nie troska się wcale

O te zmiany... o losów przedziwne koleje...
I tylko czasem, w zmierzchu, zwraca zwolna głowę,
I patrząc na dostojne mury staszicowe,
(Na te obce napisy — pękate kopuły — —)
Coś wspomina... i wzdycha...

A potem nieczuły
Znow na wszystko — z oczami na gwiazdach — tężeje...

DZWONY Z CERKWI.

Z pod tych kopuł złożonych te dzwony w niedziele.
Czasem w ciche wieczory, lub rano, o świecie —
Dzwoniły... To śpiżowe, twardych dzwonów bicie,
Jak brzek kajdan, wstrząsało miastem... Bo za wiele

Chciały dzwony skarg zgłuszyć!... Więc były bez końca,
Bily wściekle... I cichła znekana Warszawa,
Kiedy dzwonów soboru rozległa się wrzawa
Tam w górze — taka obca, tępa i nużąca...

...Nagle zmilkły. — — Śpiżowych dzwonów głośnia zmora
Przebrzmiała... Jakby z zgrozy zmarwiwały im usta...
Potężna bazylika pozostała pusta

I samotna na placu...

Lecz czasem, z wieczora,
Niewiadomo dlaczego jęczy dzwon śpiżowy,
Jakby znowu żelazne gdzieś brzękły okowy...

Pałac i rudera.

Spotkali się w tramwaju. Zresztą, na miejscach siedmiokopiejkowych...

— Dzień dobry kochanemu panu.

„Kochany pan” spojrzął na witającego.

Dopiero po dobrej chwili zorientował się, z kim ma do czynienia...

— Ach, to pan szanowny!...

„Pan szanowny” uściślił go mocno za rękę.

Jednocześnie, zagabnięty myślą:

Właściciel dwóch kamienic w Warszawie i pałacyku w Skolimowie — obok niego w tramwaju? Przed wojną jeździł tylko automobilem, i w dodatku własnym!...

— Kochany pan doskonale wygląda! — poklepał go po ramieniu posiadacz własnego automobilu.

Lokator z przed trzech lat nie mógł tego, niestety, powiedzieć o swym dawnym „krwiopijcy”: właściciel dwóch kamienic w Warszawie i pałacyku w Skolimowie miał minę bardzo rzadką...

— Cóż się stało z autem szanownego pana? — zagadnął dawny lokator, tak, żeby coś powiedzieć. — Zapewne zarekwirowany, a może ewakuował się wraz z naszymi przyjaciółmi nad Nowę?

— Ani jedno, ani drugie, kochany panie. Poprostu, sprzedałem go przed rokiem —

I machnął ręką...

— A u kochanego pana?

— Jakoś się żyje...

— Z biedą?

— Jeszcze mienajgorzej!... Zapomoga miesięczna, kwartalny zasiłek, stypendium jednorazowe (nieduże cprawda), obiady w „inteligencji”, wieczory w Siedzibie (jakiś my tam mamy koncerty bezpłatnie — najpierwszych artystów, powiadam panu!), dostajemy też bilety gratisowe do teatrów...

— Kiedy ja już nie byłem na koncercie ani w teatrze — westchnął melancholijnie właściciel pałacu w Skolimowie.

Wysiedli razem. Przez chwilę szli jeszcze obok siebie.

Dawny lokator myślał:

— Właściwie powinienbym, korzystając z takiej okazji, „pompać” go na jakie 10 marek...

Wtórowało tej myśli niemniej podobne westchnienie podwójnego kamienicznika:

— Gdyby tak wypadło, jakżebym chętnie poprosił młodzieńca o jakie pięć rubli na rachunek tego, co mi winien za tyle lat nieplacenia...

B. Gorczyński.

Pejzaż w polskiej współczesnej powieści.

Gdy hasło sztuka dla sztuki rozbrzmiało w piśmiennictwie francuskim i echem rozległo się w całej Europie, gdy uświadomiono sobie nowy kierunek, a może nawet zaniem uświadomić sobie zdążono — już powstały nowe doświadczenia estetyki, które wołały: sztuka dla życia. Starano się wszelkimi sposobami zutilitaryzować sztukę, stosowano ją i zastosowywano do życia. Ale daremnie. Ilekroć zbliżano się do niej, aby ją spożytkować, wymykała się i uciekała od życia, chroniąc swą istotną postawę.

Zatem nie sztuka dla życia lecz życie przez sztukę. Z życia dostojnego wyniknąć winna dostojna i siebie samej godna sztuka.

Taką jest sztuka u nas. Nie ucieczką od życia, lecz z rzeczywistości naszego dnia, promieniowaniem.

Życie polskie z całym jego przedziwnie pięknym a tak w jednostajności rozmaitym pejzażem odbiło się w muzyce, malarstwie, poezji i powieści. Niezapomniane, tęskne, mgłą owiane pejzaże Chełmońskiego do były u Karłowicza melodyjnymi smętnymi, donośnymi, dzwoniącymi po ugorach, po których to tuła się żal, ból i ta wieczysta dola człowieka, wyśpiewana przez Kasprzowicza w „Święty Boże, Święty Mocny”.

Ten sam pejzaż pokrzywdzony boleśnie i z gorzką dolą spojony przemawia całą prawdą u Żeromskiego. Bowiem pejzaż i dola znalazły najsilniejszy wyraz w sztuce. Idą nierozłącznie, stanowią wszędzie nierozdzielalną całość. Wszystko zda się wypowiedział już Chopin, zostawiając po sobie największą puściznę tonów, które mogą być wyrazem każdej kropli deszczu tłuającej o szybę i ogólnoludzkiej krzywdy, skrawkiem łaki i nieskończonością nieba. Każda nuta wzięta jest z życia, przekazana sztuce i życiu ponownie oddana. Tę dolę na płótnach rozpieli Maleczewski, Hofiman, Mehofffer i dali jej obrazy męki i cierpienia, dali jej oblicze zagadki, dali jej twarz matki, przemawiająca na tle polskiego pejzażu.

Gdy jednak w malarstwie, muzyce i nawet poezji pejzaż jest tylko tłem, w powieści i dramacie wysuwa się na plan pierwszy i zajmuje stanowisko dominujące.

Przez pryzmat pejzażu, będącego uziynsłowieniem ducha polskiego, stają się dramaty Wyspiańskiego wyrazem tragedii narodowej. Z niego idą wszelkie głosy przeszłości, z niego wydobywają się tęskne wspomnienia i zwidy. Gdy nadechodzą noc listopadowa, a drzewa wielkim schyliły się skłonem bezlistnych, zecer-

niałych gałęzi, cała droga liściem uścielona, które wiatr rozgania drgające, wtedy tylko rozegrać się może tragedia jesieni, unicestwionych nadziei i marzeń przysypanych uszłymi liśćmi. A kiedy noc bezgwiezdna utuli świat, to z pejzażu groźnie milczącego i zamkniętego w sobie straszna tajemnicą wyjdzie głos sumienia przeszłości i przemówi całą bezlitosną prawdą.

Innym, a nierozdzielalnym z duszą polską skutym jest pejzaż u Żeromskiego. Każdy krzew, pąk, kwiat i skrawek nieba, po który sięga Żeromski, jest nieodłącznym od człowieka. Dusza ludzka, jak w zwierciadle, odbija się w płomieniu zachodzącego dnia, wypromienia z blasków nocy i wyczarowuje z ziemi.

Dusza ludzka żyje w pejzażu a pejzaż w duszy ludzkiej.

„Nieobjęta cisza napełniała tę błogawioną dolinę. Księżyc świecił, tonąc raz wraz w przejrzystych chmurkach. Jednostajne światło spływało niby tajemna i niepojęta prawda ze swego źródła, pociągająca duszę za sobą, w jednym zawsze kierunku. Między czarnymi sosnami na wzgórzach wśród koron skłębionych w głucho-kształtne zwalę... tliło wiecznie piękne światło. Każdy jego połysk podniecał uczucie samotności, awydatniał tęsknotę jestestwa, które nie mogło ostać się w ryzach.

Z pejzażu płyną najgłębsze refleksje o życiu, z pejzażu wyłania się najgłębsza zaduma o skrępowanych mocach w duszy człowieka. I ten pejzaż w momentach przełomowych jest ostatecznym wyrazem tragedii lub usymbolizowaniem uczucia.

Gdy w „Ludziach bezdomnych” na duszę doktora Judyńca spływa zaduma i gdy on wychodzi na spacer, to w dali z pomiędzy koron kulistych wysuwają się gałęzie bez liści... jak jakiś smutny drogowskaz. Ze szczytów sączyły się barwy trupie, zgniłe, czerwono-rude i coraz niżej wsiąkało w ciemną zieleność jasno-żółte zniszczenie”.

W powieści Żeromskiego dominuje pejzaż nad człowiekiem. Z krajobrazu emanują czyny, marzenia i tęsknoty ludzkie. Jest taki moment w „Dziejach Grzechu”, gdy Ewa razem z Łukaszem idą za miasto. Pierwsze technienie wiosny i pierwsze jej uśmiechy w naturze są jakoby przyczyną szalu miłosnego dwojga kochanków. Miłość Heleny i Rafała w „Popiołach” musi rozgrywać się na tle bogatego, rozmaitego pejzażu. Każdy zachód słońca ma swoje załamanie w duszy Heleny i Rafała. Każde jezioro jest zwierciadłem uczucia. Każdą przepaść, urwisko — pogłębieniem miłości. Koniec jednej z najpiękniejszych idylli erotycznych wynika poniekąd z nieokreślonego, bujnego pejzażu.

Takie same dominowanie natury jest i w „Wiernie Rzece”. Wierna rzeka, chłonna duszę Salomei, jest

zamknięciem się przyrody nad jej cząstką, jest zawarciem się pejzażu nad jego fragmentem, którym to duża kobieta. Wszystkie postacie kobiece w powieściach Żeromskiego są motywami pejzażu. I Ewa, Tania, Helena, i Salome, i Joasia, która w powieści stała się usymbolizowaniem rozdartej sosny, ociekającej krwawymi kroplami żywicy.

Wszystkie one wyrastają z ziemi, z jądra natury i są jej głosem.

W inny sposób zaznacza się pejzaż u Reymonta.

...Czas był wiosenny o świtanii.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł, jako ten parob, którego legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do ona, zrywać się ano musi; nadedniem, by wnetki inać się pluga i do orki się brać.

Poczynało dnieć.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosły kapale rześcicie z drzew pośpionych w macie nieprzejrzanim.

Niebo, kieł ta płachta modrawa, przejęta wilgotnością i orosiła, przecierała się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mroczkach zagubioną. Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że leda pacierz wylupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, którego dolegiwał ostatków, ozwierał ciężko mgławicami zasnułe oczy, poruchiwał się ździebko, przecykał zwolna, ale jeszczech się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła barzej w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytała — jeno wiat, jako te dychanie dzieciątka cichuński, powiał od lasów, aż rosły potrzęsły się z drzew...

Tutaj przez cały pejzaż wiejski przemawia dusza chłopska. I ona jest nieodłączna od ziemi i ona stanowi z nią razem całość, ale tutaj z duszy i w duszy wytwarza się pejzaż, który następnie przemówi szeregami nastrojów. Książki Reymonta z „Chłopami” na czele są dziełami malarza. Plastyka i kolorystyka pejzażu są zawsze i wszędzie na pierwszym planie. Powieść jest przedewszystkiem skrawkiem naszej przyrody.

To samo możnaby rzec o najlepszych powieściach Weysenhoffa. Są one wspaniałymi epicznymi poematami o ziemi, lasach, łąkach i niebie, przez które przemawia silnie a pięknie miłowanie świata.

...Na widnokręgu, w wykroju płowego wzgórza pożar różowy, radosny, obejmował niebo wschodnie, a ziemię obmywał tylko z mgieł, tak że barwiła się lokalnie, ciemno i jaśniej zielona, płowa i czarna. Aż gęsty bukiet olszyny przeświecił się żywym ogniem i trwał przez chwilę, podobny czarnej koroncy na czerwonym zlocie. Chwila znowu — nad kity olech podniosła się szybko ogromna twarz słońca.

Zboża i ściernia zarumieniły się, las się podzielił na uśmiechy światła i zadumy cieniów, rudym fioletem połysnęło po skibach roli, nad taką rozsunęło się lekkie, mokre przedziwo z najcięższych tęczowych promionków, i buchnęła radość przez całą krajinę...

Jak zgoła odmienny nastrój budzi jeden i ten sam pejzaż. To, co dla Żeromskiego jest źródłem nieopisanego smutku, luna, która dla niego jest krwią serdeczną, wschód słońca, który oświeca tragizm dnia poprzedniego, u Weysenhoffa jest radością życia, wypromieniowaniem szczęścia.

Pejzaż Weysenhoffa jest jedyny, soczysty, świeży i rozległy. Chwilami tak piękny, że brata się z pejzażem mickiewiczowskim. Zwłaszcza, gdy występuje puszczą w całej swej krasie, zdobywa się Weysenhoff na najwspanialsze tony, barwy i plastykę.

...Wichry nie przewiały wnętrza gęstwiny, strzeżonego przez stutysięczne kadry pni potężnych i niskie podszewki liściaste, dyszał tu upał zgęszczony woniami i ciszą. Nad małą polanką utworzoną przez wywrót dębu, którego starożytny kadłub wrósł już na polę w ziemię, pokryty wybiałem pierzem paproci — na wysokiej odnodze zdrowego dębu — ryś wyciągnął się do drzemki popołudniowej, jak potworna płowa liszka wzdłuż pomarszczonego konaru...

Jest u Weysenhoffa cisza i oczekiwanie, jest niezmierny spokój epika; a żarem pachnie to wszystko i życie.

Każdy twórca patrzy na świat, z którego wyszedł, lub do którego powrócił, przez pryzmat własnej duszy. Przeto każdemu inaczej zalaminają się cienie; inaczej działa jesien na szaruga, w której jeden bolesną, zniekaną, tragicznie smutną ziemię widzi, inny cudowny spoczynek po pachnącem lecie.

Pejzaż w twórczości Sieroszewskiego jest nawskroś impresyjnistyczny. Swoje własne, często niemchwyte wrażenia rozpina Sieroszewski na drzewach przydrożnych; mgłami tęsknoty otula łąki, lasy i morzu każe śpiewać swój własny smutek.

Gdy nawet daje pejzaż obcy i egzotyczny — to pejzaż ten staje się bliski nam i do nas przynależny, albowiem wszędzie niesie go z sercem miłującym Sieroszewski.

Prosty, szczery i rzeczywisty, jak cała twórczość Struga, jest i jego pejzaż. Dominuje w nim rytm natury.

...Bije w mozdrza świeży, cierpką zapach młodych liści. Wszystko tu świeżo urodzone, delikatne, dziecięce. Jeszcze nie daje las cienia. Jasno-zielone, delikatne, jak obłoki, rysują się na głębokim niebie korony brzoź i olech. Jeszcze widać przez

mgłę drobnych listeczków czarne konary i galezie. Dyszy las wilgocią i miłym chłodem. Plenia się nad drogą kosmate primulki, różne pierwsze kwiateczki białe, żółte, lilowe. Jak na fujarkach, wygrywają kosy i wilgi.

Strug spogląda na pejzaż; Weysenhoff żyje nim; Żeromski przez pejzaż widzi człowieka; i dla Reymonta jest on nierozdzielny z duszą. Miłość ziemi, najsilniejsza nuta w twórczości znakomitych powieściopisarzy, występuje dobitnie, przekonująco i serdecznie w pejzażu. Dlatego też najlepsze powieści polskie są zarazem dziełami malarskimi i — przedewszystkiem malarskimi.

U najmłodszych powieściopisarzy pejzaż zanika. Niema nań miejsca lub też poprostu czasu.

Bohaterowie powieści Perzyskiego oraz nowel Rittnera i Makuszyńskiego występują na pierwszym planie, bądź jako jednostki smutne, bądź jako śmieszne, i tak jest zajęty autor ich analizą, przeżyciami skądinąd mało ciekawymi, że nie podobna dać im za tło pejzażu lub w pejzażu szukać odbicia. To są przeważnie ludzie z „miasta”, żyjący w przyspieszonym i nerwowem tempie, ludzie przywykli do czteropiętrowych kamienic, które zamykają horyzont i ukrywają starannie niebo.

Mało też pejzażu w utworach Daniłowskiego i Kadena, którzy, zapatrzeni w istotną niedolę, nie odrywają wzroku od niej, ażeby rozzejrzeć się po świecie. I niema pejzażu w powieściach Rygier-Nałkowskiej i Jehanne-Walewskiej, albowiem obie unikają prostoty, jaką daje polski pejzaż.

Ale jest on we wszystkich utworach jutra, które zrodzi chwila dzisiejsza.

Ten pejzaż polski usiany mogiłami, ta ziemia okaleczona, porozrywana setkami tysięcy kul, dziwnie przecięta zrygawkami szańców, rozdarta i otwarta, jak przeogromna rana. Te drzewa o grubych pniach, szerokich konarach z ściętymi, przez padające szrapnele wierzchołkami. Spalone lasy, na zgłiszczach których nowe powstaną zagajniki — oto pejzaż jutra.

H. Jelenkiewicz.



Z cyklu „Nad Bugiem“.

(W letni wieczór 1900 i 1915 r.)

Szeroko płynie Bug stary. W spokojne dni krążą nad nim rybitwy, szubują po gładkiej toni tratwy oryli. W burzę dzieją się tu jednak rzeczy dziwne. Od łąk i lasów — z wichrem po rzece — idą głuche jęki: ni to skarga, ni zawodzenie, ni żal.

Kłątwa.

Tumany mgieł kołyszają się u wierchołków drzew, lecąc w dół na rozmokłe kurhany i trzęsawiska z oderwanymi od pni gałęziami. Wichry, ciskając się, chwytają z ziemi spróchniałe wykroty i rzucają je w rzekę, szarpnie bryły kamieni, strącają ze wzgórz w niziny kępy traw i chwastów.

W miejscu, gdzie niegdyś białal krzyż, po którym zostało tylko zmurzalone ogrodzenie, był przed wiekami cmentarz.

Nad mogiłami wyrosły dziś brzozy i lipy, zahaczone o brzegi urwistej ściany, stromo lecącej w dół nad rzekę.

Gdy huragan dochodzi do szczytu napięcia, smagając powierzchnię wody i pracę się w jej wnętrze, pędzi Bug stoma językami oszalałych gejzerów i syczącej piany w sam środek urwiska, żeby graźny mroczny krużganki aż ku trzewiom grobowców, bić w spróchniałe trumny i chełwami mackami szukać łupu starych kości. Budzą się wówczas szkielety i w tę noc straszna, noc sabbatu łopoczą o ściany mogił.

Jakgdyby czekał tej chwili rozpętany żywioł: przywarowawszy u podziemnych kurhanów, chwytając trupa po trupie i spływając z nim w zmięcone czeluście.

Nim po burzy rozświeci się słońce, armia szkieletów zaściela leje wodnie. Roztrącają je włosiem oryle; żerują nad nimi dzikie kaczkę, kulony, rybitwy. A rzeka płynie w ramach mokrej zieleni, jakgdyby nie dziwnego, nie straszego nie zaszło; jakgdyby nie wstrząsnął nią — w noc sabbatu — dreszcz grzesznego szalu...

W miejscu, gdzie łagodną łuną opada brzeg prawy, wrzynając się w wodę długim, wązkim pasem łąk i piachów, na górze u szczytu bieleje cerkiew.

Kształtem przypomina kościół, lecz pokrywa ją dach zielony i pośrodku błyszczą okrągła, przysadzista wieża. Czarne mniszki snują się wzdłuż białych murów. Jedna z nich staje, patrzy, a pierś jej rozsada duma.

Dokąd okiemi sięgnie, wszędzie jej państwo, jej władza.

Tam, na rzece, gwar, śmiech, śpiewy. Ciężkie łodzie wożą letników: swobodne, wesołe towarzystwo, które tu zjeżdża do mniszek co lato.

Wyruszyli wszyscy na spacer: ona musiała zostać, bo tam, na zrebie polany, niedaleko od miejsca, gdzie niegdyś stał krzyż, czeka na nią matka z niemowlęciem, które jej odda w tajemnicy —

Stoi mniszka i patrzy.

Na rzece, w olbrzymiej, płótnem krytej łaźnicy, kąpią się dzieci z przytułku.

Zrodziły je we wstydzie i grzechu dziewczęta po aktach kradzionego szalu lub żołnierki, których mężowie poszli do wojska; przyprowadziły je wdowy, strawione nędzą, otrzymując wzamian wory kaszy, maki, błyszczące ruble. Każdą z nich udało się przyciągnąć i namówić do występnego sprzedaży. Niejedna — w gorczy i skrusze uświadomionego czynu — zwracała grzeszne pieniądze, żądając oddania dziecka. Ale — dobry kupiec nie wyrzeka się nabytego towaru. Rozpędzały mniszki na cztery wiatry matki-pokutnice, strasząc grozą kar cielesnych, więzienia.

Rosły zastępy kupowanych i prawosławiu zawierzanych dzieci. Ona — Elżbieta Pawłowna — celowała w transakcyach. Nie było ciężarnej dziewczyny, zbiedzzonej wdowy lub żołnierki, która oparła się jej wpływowi. Wszystkie miała w swoich rękach. Wiedziała, co się dzieje w każdej najdalszej wsi dookoła.

Dwa ordery błyszczące na pierś jej: trzeciego spodziewała się wkrótce za wysiłki swoje w szczeniu prawosławia, za chytre przynęcenie odpornej ludności, a trud bez wycieńczenia — od świtu do nocy —

Patrzyła w dół przed siebie Elżbieta Pawłowna.

U stóp wzgórze, na piaszczystym, łąkami gdzieniegdzie przeciętym półwyspie wre, kipi ruch, praca. Setki rak znoszą cegły, zrzucając z wozów bale i trącają na deski, lasując wapno, kopiąc doły na podwaliny przyszłych wielkich gmachów. Jednej cerkwi, jednego klasztoru mało; niedługo stanie miasto całe... Za Bug daleko płynąć będą spiżowe dzwony, głuźsząc wążle sygnaturki cichych wiejskich kościółków i młde, nieszporne pienia i litanie procesy. Potęgą swoją obejmą cały nadbużański kraj: skruszą opornych, przykują wiernych, zmierzają się z głosem Boga samego.

W promieniach zachodzącego słońca czarna, wydłużona, prosta, snula marnienia ambitne. Wiatr szarpał brzegi jej sukni i welon kaptura. Wiatr niósł echo gwarów i śmiechu z nad rzeki.

Bawią się jej siostrzeńcy i siostrzenice; bawią się rodziny innych mniszek, przybyłe na czas wakacji. Ona nie jest z nimi, bo czeka ją sprawa pilniejsza od chwilowej rozrywki.

Zstąpiła ze wzgórze. Musiała skrócić na lewo, gdzie o zmierzchu i nocą straszło. Stare cmentarzysko, opadające z tej strony w dół rzeki, roztwiera mogiły, z których do wody zsuwają się trupy...

Nie mogła. Pójdzie inną drogą.

Ale jaką, żeby ominąć widma upiórów?...

Tam, niedaleko, gdzie niegdyś stał

krzyż, po którym zostały tylko szczątki ogrodzenia, strzelił przed laty ksiądz do siebie.

Dawał śluby kościelne, chrzczył, spowiadał po borach, po lasach. Zdradzonego. Nie przeżył sromotnego występkę bliźnich i — zagłady kościoła, przerobionego na cerkiew: zabił się pod krzyżem. Mówią, że duch jego co noc chodzi od chaty do chaty i odmawia ze śpiącymi paciery i błogosławi wieść cichą i rzuca na czarnych mniszki przekleństwa...

Stanoła. Coś szarpnęło ją dziwnie. Lepiej stracić spotkanie, aniżeli przejść koło krzyża...

Czegoś się boi: pierwszy raz w życiu. To widno księdza... Może... wstaje nocą... naprawdę?... Może... zajdzie jej droga?...

Dech zamarł w piersi Elżbiety Pawłowny. Usiłowała biedz naprzód, lecz znów stawała.

Słońce kula czerwoną skryło się nagłe, skoczyło jakby w przepaść, zostawiając po sobie lunę purpury.

Stanoła powietrze. Uciekił gdzieś za bory wiatr ciepły. Zeszła cisza na ziemię.

Wtem — z drugiej wsi nad rzeką — odezwał się dzwonek: srebrna sygnaturka. Jakieś szpty poszły z nim razem po murawie nad rzeką. Coś w wodzie pluśnięło: może opadł trup z dawnego cmentarzyska?

Bez tchu, drżąc cała, nie ruszała się z miejsca czarna mniszka.

Coś straszło nie tylko koło krzyża ale wszędzie...

Ten dzwonek, ten cichy, miękki dzwonek po rosie, nad polami... Czuli go w sobie. Wibrowała nim. Nie łączał dźwiękiem spiżowym, nie हुआ gromowładnie, lecz falą wnikliwą wlewał się wprost do duszy, wgryzał w serce, łopotał w piersiach i w mózgu niby biały ptak tęsknoty, nadziei...

Przestały świerkać świerszcze i cykać koniki; zamilkł skowronek, przycichł poszum liści: tylko dzwonek dzwonił.

Na „Anioł Pański“...

Nad rzeką w dole ustała robota. Ręce, które budowały miasto klasztorów i cerkwi, kreśliły znak krzyża na czole, piersiach i obu ramionach. Usta mówiły paciery.

„Anioł Pański“...

Przerwały kąpiel dzieci w łaźnicy: starszym dzwonek przypominał dawne modlitwy; młodsze — za przykładem starszych — wtórowały:

„Anioł Pański“...

Zawróciła mniszka. Nie mogła iść dalej: ani kroku za krzyż... Jakaś siła przemocnie cisnęła jej w uszy:

— Stój!...

Uklękła; pochyliła się ku ziemi nisko i przeżegnała trzy razy, dotknawszy ręką czoła, piersi i lewego ramienia, a potem szybko — nie obejrząwszy się za siebie — pobiegła copędzej do domu.

Dysząc ciężko, przywarowała przed murem klasztornym.

Tu czuła się panią środowiska, z którego żadna moc ludzka wyprzedzić jej nie

zdoła. Tu nie nie straszy: tu jest jak królowa nadbużańskiego kraju...

Szóstka wydzwoniła na zegarze cerkiewnym. Ludzie zeszedli z roboty. Wracało wesołe towarzystwo z przejażdżki po rzece. Elżbieta Pawłowna wciąż stała przed domem: czarne, w dal wpatrzone widmo.

Jakieś, z wnętrza niewiadomych otchłani na mózg rzucane obrazy snuły się przed nią.

Spojrzała na cerkiew. Hyszczącą w poździe zachodu, i naraz wydało się jej, że cała jest we krwi, a dzwonnica obok, wtulona w pierwszy mrok nocy, stała pusta, bez dzwoniów, jak odarte z gromowładnej dostojności swej i mocy widmo, straszące bezzębną swą paszczą.

Wzdrygnęła się całym ciałem i stęzała w bezruchu przerażenia. Na zaciśniętych jej wargach utkwiał niewyrzucony krzyk: z rąk, złożonych na piersiach w kataleptycznym zapamiętaniu, bił bezwład omiemia.

Tak zastała ją wesołe towarzystwo, wróciwszy ze spaceru. Śmiech, gwar, koncepcje wbiwały się w mózg jej gwoździemi, od których pękała czaszka. Nie mogła słuchać tej wrzawy: uciekła do siebie. Zamknąwszy się w białej swej celi, spojrzała na krzyż i — dziwne! — Wydało się jej naraz, że zostało jedno ramie tylko, drugie — zniknęło w mroku nocy. Lampka przed ikoną w rogu pokoju zgasła. Cicho było, a w jej uszach dzwonił wciąż dzwonek wiejskiego kościołka:

„Anioł Pański“...

* * *

Tak samo szeroko płynął Bug stary. Tak samo krążyły nad nim kulony, rybitwy. Tylko — nie przecinały go już trawy oryli i nie rozlegał się po rzece gwar wesołego towarzystwa. Jakieś glucho, władne skupienie zapanowało nad miastem niedawno wzniesionych klasztorów i cerkwi. Snuły się czarne mniszki, coś wynosząc, pakując na łodzi i na gotowe do drogi wozy, wydając krótkie, tępe rozkazy, zwołując dzieci z przytułku, żeby pousadzać je na brykach i wywieźć za chwilę.

Nieprzyjacieli był o kilkanaście wiorst za lasem. Bitwa mogła rozegrać się dziś jeszcze. Jęczało powietrze i drżała ziemia od huku armat; dudniał most od turkotu naładowanych platform, tętentu koni, ryku bydła i szlochu oderwanej od ognisk, pędzonej na rozstaje, w czeluści zatracenia nadbużańskiej ludności. A dokoła paliły się wsie i dwory; ginał w paszczy wojny trud, mienie, dobrobyt pokoleń. Z dymem biła pod stropy kłątwa i żalność bezmierna i pomruk krzywdy. Ale cichie, jasne niebo jakby nie nie słyszało lub słysząc nie chłonęło w siebie skarg ziemi.

Przed opustoszałym klasztor wyszła ostatnia mniszka, na którą czekał powóz z najwierniejszym sługą: dziadem cerkiewnym.

Stała pod murem, patrząc przed siebie. Wiatr szarpał jej suknię i kołnice czarnego welonu. Na piersiach błyszczały trzy krzyże. W oczach paliły się błyski pomrego buntu przeciw jarzmu prze-

mocy, któremu pierwszy raz w życiu uleż musiała.

Ucieka stąd — ona — królowa nadbużańskiego kraju — jak niewiadomy przybłęda — kradzionymi drogami, chyłkiem, pokątnie, żeby nie wpaść w niewolę.

Wzdrygnęła się, zgrzytając zaciśniętymi w bezradnej pasyji zębami.

Słońce — kula czerwona — skryło się w tej chwili za widnokrąg, skoczyło jakby w przepaść nad rzeką, zostawiając po sobie morze czerwieni.

Stało powietrze: uciekł gdzieś za bory wiatr przedjesienny; zesła na ziemię cisza.

Mniszka podniosła oczy, żeby ostatniem spojrzeniem pożegnać cerkiew nadbużańską i całe miasto — ołtarz prawosławia: trud swój bezmierny i cel i wiarę i pion bytu: trud, mozół, cel, wiarę towarzyszy i towarzyszek pracy.

Wtem — zadrżały jej ramiona, proste, w górę wzniesione; skureczyły się wargi bezmiarem przerażenia.

To, co widziała teraz, było jak sen, raz już kiedyś, dawno, w groźbie i mecie przeżnięty.

Cerkiew tonęła w poździe zachodu i lunach pożarnych niby we krwi, a ku dzwonnicy tuż obok przyczajał się już mrok przedwieczorny.

Tej nocy wyjęto z niej dzwony, wladowano na wozy i powieziono za Bug daleko. Stała, jak pozbawione gromowładnej dostojności swej i mocy widmo, któremu wypruto trzewia.

Bez godła wszechwładnej mocy było bez nich miasto — ołtarz; bez prawa głosu została cerkiew; puste mury; bez przypomnienia o potęgę *pana* trwał w czasie i przestrzeni nadbużański kraj.

Skrzypiały odjeżdżające wozy i

bryczki; dudniał wymarsz odchodzącego wojska.

Czarna mniszka nie nie słyszała. W oczach jej steżał odruch przerażenia; do zaciśniętych warg przywarł niewyrzucony krzyk; z rąk złożonych w kataleptycznym zapamiętaniu bił tępy bezwład.

Dziad cerkiewny po trzykroć już wołał:

— Elżbieta Pawłowna, co z wami? — Pora jechać, a to popadniemy w niewolę...

Słowa, jak pusty grzechot, objęły się o mózg nieprzytomny.

Musiał wstrząsnąć nią mocno za oba ramiona; musiał rzucić wprost do ucha: „Powóz czeka; niema chwili do stracenia“ — żeby nareszcie odbłyskiem półwiadomości poruszyły się jej oczy.

Wolno, jak cień, prowadzona przez dziada, wsiadła do powozu.

Konie ruszyły przez szerokie ulice. Ginęło miasto, za wory złota wzniesione. W tyle za uciekającymi zostawał plon ich robooczy, którym dziś może jeszcze inna moc owdalnie. Żegnał ich Bug sędziwy, który ani chwili nie przerwał odwiecznej pracy toczenia się po kamieniach i żwirze; żegnały bory, pełne tajemnic; żegnały groby i krzyże.

Powóz skręcił w ostatnią ulicę, gdy z cichych wiejskich kościołków rozdzwoniły się dzwonki:

„Na Anioł Pański“...

Szły falą wnikliwą nad polami po rosie; wlewały się wprost do duszy, łopotały w piersiach, w mózgu przypomnieniem modlitwy i biły w niebiosą hejnałem nadziei.

Nie zdusił ich szpil gromowładny; milezały puste cerkiewne dzwonnice, jak zmocowane w twardym boju olbrzymy.

C. Walewska.

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

B A K.

16

POWIEŚĆ.

— Zechciej panj zrozumieć — mówił nagle, obracając się ku niej wyzywająco — że wszystko to, co powiedziałem, jest czystym wymysłem. Mam romantyczną żylkę, ale nie chcę, aby ją brano na seryo.

Nie odpowiedziała i znowu szli dalej w milczeniu. Gdy mijali bramę pałacu Uffici. Bak przeszedł na drugą stronę i pochylił się nad jakąś drobną, ciemną postacią, leżącą w kącie.

— Co tobie, dziecko? — zapytał dziwnie miękkim głosem. — Czemu nie idziesz do domu?

Drobna postać poruszyła się i odpowiedziała coś cicho i jękliwie. Gemma, zbliżywszy się, zobaczyła kilkoletnie dziecko brudne i obdarte, kurezące się na bruku, jak wystraszone zwierzątko. Bak pochylił się nad niem, trzymając rękę na jego zwłocznej głowinie.

— Co mówisz? — rzekł, pochylając się jeszcze niżej. — Trzeba iść do domu; małe dzieci nie powinny włóczyć się nocami po ulicach, zmarzniesz jeszcze. No, dalej! Podaj mi rękę i marsz! Gdzie mieszkasz?

Ujął dziecko za rękę, lecz ono krzyknęło przeraźliwie, cofając się i trzęsąc ze strachu.

— No, co ci jest? — zapytał Bak i ukląkł na bruku. — Ach! Signoro! spójrz tylko!

Ramię dziecka, wyglądające poprzez lachmany spencerka, ociekało krwią.

— Powiedz mi, co ci się stało? — badał Bak pieszczołliwie. — Upadłeś? Nie? Ktoś cię wybił? Byłem tego pewny. Kto taki?

— Wujko.

— Ach tak! A kiedyż to było?

— Dziś rano. Wujko się upił, a ja... ja...

— A ty wszedłeś mu w drogę, czy tak? Nie trzeba wchodzić w drogę ludziom, gdy się upijają, bo tego nie lubią. Zapamiętaj to sobie, chłopaczku. Cóż my zrobimy z tym biednym malcem. Signoro? Chodź tu do światła, synku, niech zobaczę, jak to twoje ramię wygląda. Obejmij mnie za szyję, to cię nie będzie bolało. Ot, tak!

Wziął chłopca na ręce i przeniósłszy go w poprzek ulicy, posadził na szerokiej, kamiennej balustradzie. Poczem scyzorykiem przeciął zrzęcznie podarty rękaw, opierając głowę dziecka o piersi, podczas, gdy Gemma podtrzymywała skaleczoną rękę.

— Rzetelne cięcie. Jak dla takiego maleństwa — rzekł Bąk, owiazując ranę chustką. — Czemu on ci je zadał?

— Łopata. Prosiłem wujka o solda, by kupić polenty w sklepiku, a on mnie ciał łopata.

Bąk wzdrygnął się.

— A! — rzekł zeicha. — To boli, prawda, mały?

— Ciał mnie łopata, a ja uciekłem, bo... bo... się bałem.

— I błąkałeś się odtąd nie jeżdżąc?

Zamiast odpowiedzi dzieciak zaczął gwałtownie szlochać. Bąk zdiagł z balustrady.

— No, no, cicho; wszystko będzie dobrze. Gdzieby tu można dostać dorożkę? Ale wszystkie zapewne czekają przed teatrem; bo dziś wielkie widowisko. Przykro mi, że panią tak utrudzam, ale —

— Pójdę chętnie z panem. Możesz potrzebować pomocy. Czy nie za ciężko będzie panu nieść go tak daleko?

— O! nie. Dam sobie radę.

Przed teatrem znaleźli tylko kilka dorożek i wszystkie zajęte. Było już po przedstawieniu i większość publiczności rozeszła się. Na porozielenych po murach afiszach widniało wielkimi literami wydrukowane nazwisko Zity, która tańczyła tego wieczora w balecie. Poprosiłwszy Gemmę, by zaczekała chwilę, Bąk poszedł prosto do wyjścia aktorów i zwrócił się do stojącego przy drzwiach woźnego:

— Czy pani Reni już wyszła?

— Nie jeszcze — odpowiedział ten, spoglądając ze zdumieniem na tego wytwornie ubranego dżentelmana z obdartym dzieckiem na ręku. — Pani Reni właśnie wychodzi; powóz czeka na nią.

Zita zstępowała ze schodów, wsparta na ramieniu młodego oficera kawaleryi. Wyglądała wspaniale w płaszczu z płomiennego aksamitu, zarzuconym na białą suknię. Wielki wachlarz ze strusich piór wisiał jej u pasa. Spostrzegłszy Bąka, wysunęła rękę z pod ramienia oficera i szybko zbliżyła się ku niemu.

— Felice! — wykrzyknęła ze zdumieniem — co ty niesiesz?

— Podniosłem to dziecko na u-

licy. Jest głodne i cierpi, i chce je zawieść do domu jaknajprędzej. Dorożki nigdzie dostać nie mogą; więc użyj mi twego powozu.

— Felice! Przecież nie zawiesz takiego wstrętnego, małego włóczęgi do siebie! Poślij po policyanta, niech go zabiorą do przytułku. Trudno żebyś sprowadził do domu wszystkich żebraków.

— Dziecko cierpi — powtórzył Bąk — jutro pójdzie do przytułku, jeżeli będzie potrzeba, ale muszę je wrzód opatrzyć i nakarmić.

Zita skrzywiła się z obrzydzeniem.

— Felice!... Co robisz... Trzymasz jego głowę na gorsie od koszuli — a to tak! brudas!

Bąk spojrział na nią z nagłą błyskawicą gniewu.

— On głodny — rzekł ostro. — Ty nie wiesz, co to znaczy?

— Signor Rivarez — przemówił Gemma, zbliżając się. — Ja mieszkam stąd bardzo blisko. Zabierzmy to dziecko do mnie, a jeżeli nie dostaniesz pan potem vettury, to urządzi mu się jakiś nocleg.

Odrzucił się żywo.

— Doprawdy? Panj pozwoliś?

— Ależ, oczywiście. Dobry wieczór, panj Reni.

Baletnica skłoniła się sztywno, poczem ujęła zwóz oficera pod rękę i zebrawszy tren sukni, przeszła koło nich do powozu.

— Odeślę panu powóz, panie Rivarez, jeżeli chcesz — rzekła, przystając u drzwi.

— Bardzo dobrze; dam adres.

Zbliżył się do stangreta, powiedział mu, gdzie ma przyjechać, i wrócił do Gemmy.

Katie czekała na powrót swojej pani, a usłyszawszy, co się stało, pobiegła po ciepłą wodę i inne potrzeby. Bąk posadził dziecko na krzesło, ukląkł przy niem, rozebrał je zrzęcznie z łachmanów i troskliwie obmył i obandażował ranę. Poczem umył go całego i właśnie owijał malca w ciepłą koldrę, gdy Gemma nadeszła, niosąc taczkę.

— Czy pacjent pana może już jeść kolację? — zapytała uśmiechając się do oszołomionego tem wszystkim, co się z niem działo, biedactwa. — Ugotowałam mu posiłek.

Bąk powstał i zwinął brudne łachmany.

— Straszno nieporządku narobiliśmy tu pani — rzekł — ale szmaty najlepiej wrzucić zaraz w ogień; jutro kupię mu nowe ubranie. Czy ma pani w domu koniak? Trzeba mu dać trochę. Pójdę teraz umyć ręce, jeżeli pani pozwoli.

Dziecko, najadłszy się, usnęło natychmiast na kolanach Bąka z głowiną opartą o jego nieposzlakowane białe gors od koszuli. Gemma, doprowadziwszy z pomocą Katie pokój do porządku, usiadła przy stole.

— Signor Rivarez, pan musisz także posilić się trochę. Nie jadłeś

pan prawie obiadu, a już jest bardzo późno.

— Napilibym się filiżankę herbaty, jeżeli pani raczysz mi ją dać. O-gromnie mi przykro, że pan tyle kłopotu narobił.

— O! to najmniejsza. Połóż pan dziecko na kanapie, bo cię zanadto zmęczy. Chwileczkę; tylko nakryję poduszkę; prześcieradłem. Co pan zrobisz z tym malcem?

— Jutro? Dowiem się, czy ma jakich innych krewnych, prócz tego pijaka wujka, a jeżeli nie, będę zmuszony pójść za radą pani Reni i odwieść go do przytułku. Może największym dobrodziejstwem dla niego byłoby uwiązać mu kamień do szyi i wrzucić w rzekę; ale to naraziłoby mnie na przykre następstwa. Spj jak suse! Co to za dziwna kupka nieszczęścia! I takie to bezbronne!

Gdy Katie przyniosła tacę z herbatą, malce otworzył oczy i usiadł, rozglądając się dokoła ze zdumieniem. Poznawszy Bąka, którego już uważał za swego naturalnego opiekuna, zesunął się z kanapy i płacząc się w faldach koldry, przytulił się do niego. Najedzony i wyspany stał się rozmownym. Wskazując na okaleczoną lewą rękę, w której Bąk trzymał ciastko, zapytał:

— Co to?

— To? Ciastko. Chcesz kawalek? Ale dosyć już jadłeś. Poczekał do jutra, Kochanku.

— Nie, To! — Wyciągnął rączynę i dotknął kikutów uciętych palców i wielkiej blizny na dłoni. Bąk położył ciastko.

— Och! to? To coś w rodzaju tego, co ty dzisiaj oberwałeś.

— Bardzo bolało?

— Och! nie pamiętam. Nie więcej, niż inne rzeczy. A teraz, kładź się i spij; nie pora teraz na pytania.

Gdy powóz zajechał, dzieciak spał znowu w najlepsze. Bąk wziął go ostrożnie na ręce, by go nie rozbudzić, i zniósł ze schodów.

— Byłaś pani dziś dla mnie rodzajem opiekuńczego anioła — rzekł do Gemmy przy pożegnaniu, — Ale to nie powinno nam przeszkadzać klęcić się nadal, ile dusza zapagnie.

— Ja nie mam ochoty klęcić się z nikim.

— Ale ja mam. Życie byłoby niedozniesienia bez klótni. Dobrą klótnią jest solą ziemi. To lepsze, niż wędrowny cyrk!

I z temi słowy zszedł na dół, śmiejąc się zeicha, z uśpionem dzieckiem na ręku.

ROZDZIAŁ VII.

Pewnego dnia, w początkach stycznia, Martini, który poroziył zaproszenia na miesięczne zebranie członków literackiego Komitetu, otrzymał od Bąka lakoniczną, ołówkiem nabazgraną odpowiedź: „Bardzo mi przykro; nie mogę przyjść”. Zirykowało go to, gdyż zapro-

Wiosenne dni.

szeniu towarzyszył dopisek „ważne sprawy do omówienia” i taka odpowiedź wydała mu się lekceważącą. Co więcej otrzymał tego dnia trzy listy, każdy ze złą wiadomością; przynajmniej pogoda była fatalna; i wszystko to razem wzięte wprawilo go w jak najgorszy humor. To też, gdy na zebraniu doktor Riccardo zapytał: „Rivarez'a niema?” odpowiedział chmurnie:

— Nie; widocznie ma coś lepszego do roboty; i nie może, czy też nie chce przyjść.

— Doprawdy, Martinj — rzekł Galli z wymówką — jesteś najmniej sprawiedliwym człowiekiem w całej Florencyi. Raz, gdy się do kogo uprzedzisz, wszystko sobie na złe tłómaczysz. Jakże Rivarez mógł przyjść, skoro jest chory?

— Kto ci powiedział, że jest chory?

— Nie wiedziałeś? Leży od czterech dni.

— Co mu jest?

— Nie wiem. Musiał odłożyć widzenie się z mną we wtorek z powodu choroby, a gdym wczoraj wieczór zaszedł do niego, powiedziano mi, że jest tak źle, że z nikim widzieć się nie może. Myślałem, że Riccardo go dogląda.

— Nie nie wiedziałem. Dziś jeszcze zajdę do niego i przekonam się, co mu jest.

Nazajutrz rano Riccardo bardzo błady i zmęczony wszedł do saloniku Gemmy. Gemma siedziała, czytając monotonne szeregi cyfr Martinj'emu, który, z powiększającym szkłem w jednej ręce a cienitko za temperowanym ołówkiem w drugiej, czynił maleńkie znaczki na stronicach jakiejś książki. Gemma lekkim ruchem nakazała doktorowi; mileżenie, ten zaś wiedząc, że nie można przerywać osobie, piszącej cyfrowym alfabetem, usiadł na kanapie i mimowoli ziewnął.

— 2, 4; 3, 7; 6, 1; 3, 5; 4, 1; — dźwięczał z maszynową jednostajnością głos Gemmy — 8, 4; 7, 2; 5, 1; na tem się kończy zdanie, Cezarze.

Wpięła szpilkę w papier dla dokładnego oznaczenia miejsca i zwróciła się do Riccardo:

— Dzień dobry, doktorze; coś taki mizerny? Czyś niezdrów?

— Och nie! tylko zmęczony. Spędziłem straszna noc u Rivarez'a.

— U Rivarez'a?

— Tak; czuwałem nad nim całą noc, a teraz muszę iść do moich chorych w szpitalu. Przyszedłem tu, by zapytać panią, czy nie znasz kogoś, który mógłby zaopiekować się nim przez parę dni. Biedakowi jest bardzo źle. Ja, oczywiście, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy; ale mam bardzo mało czasu, a on nie chce słyszeć o pielęgniarce.

Dalszy ciąg nastąpi.



Samowiedza i Samowychowanie.

„Pojęcie życia, jako wartości zależnej w szerokiej mierze od woli ludzkiej, dającej się przez nią ująć i pokierować w dużej części, musi stanąć jako wytyczna naszego samowychowania” (Str. 34). Tak sądzi p. Marya Hornowska, która dla uzasadnienia tej myśli napisała broszurę p. t. Samowiedza i Samowychowanie. Broszura ta jest ciekawa i zapewne znajdzie sobie czytelników wśród młodzieży, której należałoby polecić tę książkę wzniósłych marzeń o człowieku i życiu. P. Hornowska uważa bowiem, że „tylko samoistna praca jednostki najbardziej zainteresowanej może tego dokonać, tylko wciąż pogłębiane i wytrwale samowychowanie — może dla niej otworzyć wrota jej własnej drogi życia w zgodzie z zasadami etyki najwyższej. (Str. 37). Szkoda tylko, że broszura jest upstrzona nowotworami językowymi, jak „rozplen”, „nieochoybnie”.

Zbiór przykładów historycznych.

Advokat Jan Domański zebrał pouczający „Zbiór przykładów historycznych” do użytku dla szerszej publiczności. Wartość takich publikacji jest względna. W książce znajdują się rozdziały: 1) Historje o kapłaństwie: u pogan, żydów i u chrześcian; 2) O zaślibach; 3) Pycha; 4) Łakomstwo; 5) Zazdrość; 6) Obżarstwo i Opilstwo; 7) Gniew; 8) Lenistwo; 9) Uciemianie ubogich, wdów i sierot; 10) O notach moralnych i uczynkach miłosiernych; 11) Pokora; 12) Szczerdosc; 13) Miłosc; 14) O uczynkach miłosierdzia; 15) Wiadomości historyczne o pogrzebach. Do każdego rozdziału dodano przykłady.

Ciernistym szlakiem.

Jest to ilustrowana książka, w której usiłowano „systematycznie zgrupować zdarzenia najtragiczniejszych momentów naszej przeszłości” lat 1831 i 1863. Układ książeczki jednak pozostawia wiele do życzenia. Jest zapewne zwykłą księgarską spekulacją. Nie podano nawet autora tej pracy. Ludzie nauki chodzą bez pracy — a na rynku zjawiają się książki fabrykowane przez niepowołane ręce. Czy to odpowiada naszym dążeniom do popularyzacji historii? Czy to spełnia podniosłą i zaszczytną rolę pośrednika w szerzeniu wiedzy? Książka popularna powinna być tak samo dziełem uczonego czy literata.

Stanowisko lekarza szkolnego.

Znany lekarz-hygienista, dr. Teodor Drabczyk, wydał bardzo ciekawą broszurę p. t. „Stanowisko lekarza szkolnego wobec zagadnień higieniczno-pedagogicznych”. Dr. Drabczyk uważa, że „do obowiązków lekarza szkolnego należą wszystkie czynności, wpływające z założeń higieny szkolnej, a więc: 1) higiena wieku młodzieńczego, 2) higiena nauczania i umysłowego życia, 3) higiena budynku szkolnego i jego urządzeń oraz jego życia zewnętrznego i wewnętrznego. Broszura dra Drabczyka dla pedagogów, dyrektorów szkół oraz lekarzy higienistów może być bardzo cennym przyczynkiem do skierowania zadań higieny szkolnej na właściwe tory.

Bajki Ezopa.

W „Złotej bibliotece”, która wychodzi pod redakcją znanego pedagoga, inż. Jana Grabowskiego, wydano „Bajki Ezopa”. Plastycznie i przystępnie napisana biografia Ezopa jest doskonałym wstępem do tego wyboru. Dano przytem bajki najbardziej dostępne dla umysłu dziecka. Wiersz Krasickiego, Trembeckiego, Jachowicza, Mickiewicza współzawodniczą tu w wypowiedzeniu mądrych przypowieści greckiego dowcipnego moralisty. Ładne rysunki i piękny druk czynią wydawnictwo bardzo miłym upominkiem dla młodzieży.

